

Izabela Cywińska 32

tuż przed premierą:

Jestem w teatrze szczęśliwa

13 lutego w Teatrze Ateneum odbędzie się światowa prapremiera sztuki Janusza Głowackiego „Antygona w Nowym Jorku”. „EW” poprosił o rozmowę Izabelę Cywińską, która reżyseruje to przedstawienie.

— To Pani pierwsza teatralna prapremiera od bardzo dawna. — Jak się Pani czuje za reżyżerskim stolikiem?

Izabela Cywińska tuż przed premierą:

Jestem w teatrze szczęśliwa

(Dokończenie ze str. 1)

— Właśnie dziś przeżywam szczególną radość. Jest próba techniczna i próba światła, a dla reżysera to zawsze moment odpoczynku, bo odpowiedzialność spada na scenografa. I jest to moment nieprawdopodobny, bo w teatrze rośnie atmosfera jakiejś tajemnicy. Z dekoracji i rekwizytów powstaje świat materialny, papierowy co prawda i nieprawdziwy, ale jednak świat. A reżyser czuje się jego stwórcą, takim fałszywym bogiem.

Dziś odczułam to szczególnie wyraźnie, chyba dlatego, że miałam tak długą przerwę i jestem tak bardzo stęskniona za teatrem. I myślę także, że ten świat nierzezywisty jest o tyle sympatyczniejszy, lepszy, łagodniejszy od rzeczywistości dookoła nas. I naprawdę jestem szczęśliwa, że wróciłam do teatru.

— Jak wysoko ceni Pani sztukę Głowackiego?

— Tekst tak dobry jak ten, można już tylko spać, bo nie można go poprawić. Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność, bo zawsze od prapremiery zależy w pewnym stopniu późniejszy los sztuki.

— Ma Pani znakomitą obsadę.

— Jestem z niej bardzo zadowolona. Grają Maria Ciunelis, Piotr Fronczewski, Janusz Michałowski i Henryk Talar. Frajdą jest z nimi pracować, bo są bardzo zaangażowani — nie mówiąc już o talentach. Każda rola jest tu zupełnie inna, każda daje aktorowi ogromne możliwości i stawia przed nim wielkie zadania. To tekst szczególnie — z jednej strony zdejmuje z niego na-

turalizmu i obyczajowości, a z drugiej — Jan Kott porównał go do sztuk Becketta.

— „Antygonę w Nowym Jorku” równoległe z Ateneum przygotowuje teatr „Arena” w Waszyngtonie.

— Oni dają premierę wkrótce po nas. Fascynuje mnie problem, jak ten tekst — moim zdaniem bardzo polski, ale z amerykańskim nałotem — będzie interpretowany przez artystów wychowanych w różnych kulturach. Mam nadzieję, że się spotkamy z tamtym zespołem.

— Bohaterami tej sztuki są bezdomni. Czy reżyserując ją interesowała się Pani bezdomnymi? Chodziła Pani np. na Dworzec Centralny?

— Mieszkam na Starym Mieście i nieustannie spotykam ludzi chorych na AIDS, zebranych pod kościołem, takich, którzy są bezdomni naprawdę i takich, którzy bezdomnych udają. Na własnym podwórku oglądałam sceny jak z „Opery za trzy grosze” Brechta — przychodzili tu ludzie z uźbranyim dobrem, odpinali fałszywe kule, zrzucali nakrywy na rzekomo ślepe oczy. Pili wino patykami pisane.

Teraz patrzę na nich bardziej uważnie. Odróżniam tych, którzy żyją tak z wolnego wyboru jak jeden z bohaterów Głowackiego, inteligent, Sasza — nie sposób uznać go po prostu za tzw. margines.

— Ma Pani tremę przed premierą?

— Pracowaliśmy uciełwie, bardzo intensywnie i powinniśmy być gotowi na czas.

Rozmawiała IRENA MAŚLIŃSKA

★

Zgodnie z amerykańskim zwyczajem, kilka wybranych sztuk teatralnych w ciągu roku dostępuje zaszczytu publicznego czytania. Jednym z tak uhonorowanych autorów w tym sezonie jest „nasz człowiek w Ameryce” Janusz Głowacki, obiekt westchnień pań, skandalista, który pierwszy adjął majtki na polskiej plaży, enfant terrible epoki komunizmu, autor książek, felietonów, monologów satyrycznych, scenariuszy, a przede wszystkim dramatów. „Antygona w Nowym Jorku” została odczytana dla blisko 400 osób, wypełniających szczerze wynajętą salę. Kilku reżyserów zgłosiło chęć zekranizowania „Antygony...”. Nawiasem mówiąc, prof. Kott zaliczył nową sztukę Głowackiego do największych dramatów polskich, obok Różewiczowskiego „Do piachu” i „Emigrantów” Sławomira Mrożka. (StB)